Janina Łagoda

Niekwestionowanym prawem wyborczych zwycięzców jest moderowanie na swój sposób zasad funkcjonowania instytucji państwa. Metodologia ingerowania w zastane struktury ma różne oblicza. Dla jednych to kosmetyka niwelująca niedoskonałości, dla innych to burzycielski amok. Ten drugi wariant przylgnął do aktualnie rządzących, którzy już na wstępie wzruszyli posady działów państwa wedle nieodgadnionego modułu z podsypką zemsty. Ingerencja w oświatę, szkolnictwo wyższe, sądownictwo, wojsko, policję, służby specjalne, media etc. oznajmia, że skala restauracji państwa zaczyna przerastać możliwości intelektualne firmy remontowej z Nowogrodzkiej, a to już zapowiedź nowego przetargu. Program ambitny, co kontrowersyjny, bo ćwiartuje społeczne więzi i preferuje izolację Polski w świecie, skąd płyną impulsy hossy lub bessy. Już doświadczamy upokorzeń, a zysków żadnych. Refleksji ze strony władców brak. Jeśli się pojawiają, to w otoczce sarkazmu. Ambicją rządzących jest również reformowanie na własną modłę Unii Europejskiej. Chyba odżył romantyczny kult Winkelrieda Narodów, któremu towarzyszył okrzyk: Droga do Wolności.
Wątpliwe, aby był to patent na sukces Polski. A już na pewno nie stanie się nim premierowskie hasło o chrystianizacji Europy. Efektem tego będzie co najwyżej kolejny uduchowiony rozdział w historii polskiej literatury z trudnym przekładem na rzeczywistość.

Implikacje zwycięzców

W demokratycznym państwie wynik głosowania jest świętością. Dylematy pojawiają się dopiero w procesie urzeczywistniania przez zwycięzców programowej wizji. Tym razem los Polski i jej obywateli znalazł się w uścisku dłoni partyjnego rządcy o niezrozumiałych intencjach okrytych żałobnym kirem. Odnosi się wrażenie jakoby Polacy zostali ubezwłasnowolnieni w stylu: jesteś z partią albo nie. Przejęcie władzy jest sprawą ważką, bo to nie tylko zagon procentowej aprobaty wyborców, ale czas refleksji nad obraniem drogi do sukcesu. O skutecznym sprawowaniu władztwa ważą kompromisy, a to pojęcie obce rządzącym. Im wystarcza parlamentarna przewaga. Lekceważą fakt, że za każdym upokarzanym opozycyjnym parlamentarzystą stoją tysiące wyborców, których suma przekracza miliony, a jeśli uzupełni się te liczby o tych, którzy po zweryfikowaniu swojej dotychczasowej obojętności, aktywnie przyłączyli się do obywatelskich protestów, to dla władzy rysuje się poważny problem. Rządzący przyjęli zwycięski mandat jako absolutne upoważnienie do zarządzania państwem wedle własnego pomysłu. I byłaby to znakomita oferta pod jednym wszak warunkiem, że trafiałaby w pełni w społeczne oczekiwania. Tak nie jest. Dyskurs z narodem jest ostentacyjnie ignorowany. Stawanie w poprzek na wcześniej zbudowanej autostradzie rozwoju to prymitywna, samobójcza prowokacja. Z takim przypadkiem mamy do czynienia. Rzeczą więc naturalną

pozostaje upominanie się znamienitej części społeczeństwa o uwzględnianie jej dorzecznych propozycji, a jest ich sporo. Ograniczanie przykładowo do 30 sekund sejmowych wypowiedzi i to w sprawach ustroju państwa jest kpiarską arogancją. Żeby było dobitniej, a okrucieństwo nad anarchizowaniem państwa zwyżkowało na radykalizmie, to twarzą parlamentarnych przeobrażeń wymiaru sprawiedliwości stał się były prokurator z dawnych lat, orzący demokrację. Pora więc na otrzeźwienie i wyciągnięcie wniosków, także m.in. z tzw. weekendowych spotkań ze społeczeństwem prawych i sprawiedliwych aktywistów. I nie chodzi o spektakularne demonstracje niezgody na ustrojowe przeobrażenia, lecz o potrzebę merytorycznej dysputy, bo nieomylnych wśród nas nie ma, ale błądzących sporo. Knebel na ustach oponentów w politycznych rozprawach jest fatalnym wynalazkiem, a jeśli do jego wzmocnienia używa się policyjnego oręża, to ludowładztwo próchnieje. Z drugiej strony wybory rozstrzygają, kto będzie uciskany w majestacie prawa, jak zauważył Ernst Jünger (1895-1998).

Konstytucja zawadą

Wyobraźnia obozu władzy sięga daleko poza ustawę zasadniczą i w tamtych dotąd nieskodyfikowanych sferach poszukuje ustrojowych rozwiązań w drodze zwykłych ustaw, a to bliskie anarchii. Rzeczpospolita już tego doświadczała. Odnosi się wrażenie jakoby rządzący, obejmując urzędy i ślubując na obowiązującą Konstytucję RP ani wcześniej, ani później jej nie zgłębili. Dzisiaj traktują ją jako nicość. A jeśli już przywołują, to tylko wyrwane z kontekstu artykuły woluntarystycznie zinterpretowane.
Trwa pełzający proces obezwładniania ustawy podstawowej bez rzeczowej alternatywy. Fatalny to azymut, bo w historycznej wyobraźni rodaków konstytucja zapracowała na własny piedestał. Rządzący tego nie szanują, a jedynie prześcigają się w miałkim uświetnianiu tej jedynej trzeciomajowej, która raptem obowiązywała czternaście miesięcy i wedle samych ich twórców była to ostania wola i testament gasnącej Ojczyzny. Współczesna towarzyszy nam już z górą 20. lat i, co najważniejsze, nie powstrzymuje postępu demokracji. Jej wadą jest to, że nie mieści się w reformatorskim pakiecie dobrej zmiany, która nie akceptuje niczego sprzed swego zaistnienia. Zatem ustawa zasadnicza popadła w turbulencję, jak i wszystko co od powojnia społeczeństwo dokonało, także w prawodawstwie. Zatomizowana została pogarda dla dokonań poprzedników. Ale nie sposób w obłokach stawiać fundamenty nawet dla utopijnej odnowy, bo to na przekór inżynierskiej praktyce. Skutków aberracji już doświadczamy. Kraj co chwilę jest stygmatyzowany izolacyjnymi stemplami, jak chociażby niedawnym wyrokiem Trybunału Sprawiedliwości UE (25.7.2018 roku), że każdy sąd unijnego państwa może samodzielnie decydować czy polski wymiar sprawiedliwości zapewnia sądzonemu prawo do niezależnego sądu i niezawisłych sędziów. Wygodny to precedens dla państw mających interesy w prawnym obrocie z Polską. Rząd, jak zwykle w takich sytuacjach klęskę przeistacza w sukces twierdząc, że to orzeczenie jest zbieżne ze stanowiskiem rządu. Lśni to takim samym zwycięstwem, jak okrzyknięta sukcesem przegrana 27:1 podczas ponownego wyboru rodaka na Przewodniczącego UE.
A jeśli do tego dołoży się porażkę prezydenckiej referendalnej inicjatywy w sprawie zmiany obowiązującej Konstytucji RP oraz budzące wątpliwości ustawy o sądownictwie jego autorstwa, to zatrważa styl zarządzania Rzeczpospolitą. Trudno się więc dziwić, że społeczne konflikty przybierają na mocy. Niepokoi zrewitalizowany ewangeliczny zapis: brat przeciwko bratu (Mt 10,21).
Merkantylizm, to bodaj alergiczna przypadłość obozu władzy. W tym kontekście jakże więc

niewiarygodnie zabrzmiało hasło prezesa, że do polityki nie idzie się dla pieniędzy. Nie sposób dostroić tę konstatację do materialnego statusu autora tej myśli i wielu jego akolitów. Czyżby polityka miała być wolontariatem? Tchnie to załganiem, chyba że żoliborski myśliciel wszystkiego jeszcze nie objawił. Zadziwia moc zwykłego posła, dla którego linia prosta nie ma alternatywy, wbrew matematycznym euklidesowym analizom. Krajowe podwórko rządzone na partyjną modłę prawej i sprawiedliwej partii nie konweniuje z demokratycznymi obyczajami Europy. Rządzący nie dysponują taką siłą, aby własną wizję sprawowania władzy uczynić na tyle atrakcyjną, by uzyskała powszechną aprobatę. A już tego na pewno nie wzmocni gorszący taniec wokół Konstytucji RP i wymiaru sprawiedliwości. Trójpodział władzy szanujące się państwa przykładnie strzegą, bo to warunek sukcesu i materialnego dostatku. Do niedawna wiało u nas optymizmem, ale rok 2015, to bodaj mickiewiczowski rok klęski rzęsistymi łzami oblany.
Nowogrodzkie impulsy fundują powtórkę z niedawno testowanego przez nas modelu. Trwał on około 45. lat, ale geopolityczne decyzje, wzbogacone własnym wkładem negacji powojennego systemu spowodowały, że w tym złożonym historycznym ciągu wstąpiliśmy w ewolucyjnym bezkrwawym trybie na drogę ku lepszej demokracji. W nowej edycji wolności jednak nie ustały ciągoty do sarmackiego interregnum (bezhołowia). Dzisiaj jesteśmy w tej dobrej sytuacji, że nie tylko światły trzon społeczeństwa, ale i zagraniczne instytucje odciągają nas od parcia ku Ścianie Płaczu (hebr. Ha-Kotel). Z jednej strony mistyka, a z drugiej realizm. W tym zatrzasku znalazła się sejmowa większość. Wyjściem z tego zaułka jest kartka wyborcza, bo ostrzeżenia w formie obywatelskich protestów są ignorowane. Ale czy musiało do tego dojść?

Amok zwycięzców

Po latach bycia w opozycji wyborczy sukces jest radosnym osłupieniem i wiąże się z koniecznością gwałtownej przebudowy mentalności. Z recenzenta władzy trzeba wtopić się w sternika nawy państwa. Niełatwy to kurs, który na domiar należy zaliczyć w sprinterskim tempie. Dla wielu to przeszkoda nie do pokonania. Problem o tyle złożony, że dotychczasowe wąskie partyjne interesy muszą zostać skorelowane nie tylko ze spuścizną poprzedników, ale i z interesami całego społeczeństwa, które wystawiło upoważnienie dla sprawowania rządów i żyje nadzieją na lepsze bytowanie. To ono przecież jest depozytariuszem wyborczych skreśleń. Nowi rządcy miast podejmować próby koncyliacyjnego rozwikłania tego równania upodobali sobie szranki i to w zabójczym konfrontacyjnym stylu: my albo oni. Nie widać też końca nudnych porównań tzw. sukcesów dobrej zmiany z rzekomą nieudolnością poprzednich rządów i rozbrajającymi sztubackimi tłumaczeniami swoich potknięć, że inni też popełniali błędy. Zarządzanie państwem to wektor sukcesów i niepowodzeń. Przewaga porażek z natury wieszczy dymisję rządu. Ale w naszej kuriozalnej edycji administrowania państwem, o modernizacji zarządczego centrum decydują nie merytoryczne przesłanki, a wola zgorzkniałego prezesa, który realizuje własną ideę fix, lekceważąc pryncypia demokratycznego państwa. W tak butnym zachowaniu dodatkowo utwierdzają go jego przyboczni, którzy lizusostwo utożsamili z pojęciem rzeczowej krytyki. Prezes w swoich egoistycznych rachubach lekceważy udział Polski w międzynarodowych układach, gdzie obowiązuje przejrzystość reguł zarządzania państwem z wybijającym się kanonem trójpodziału władzy. Patent Nowogrodzkiej pozostaje zaś w przekorze do unijnych zasad, a to kurs ku zaściankowi, z którego tak na dobre jeszcze nie wyszliśmy.
Radary zainstalowane w centrum władzy monitorują wyłącznie krajowe podwórko, szukając

sposobów na zdobycie konstytucyjnej większości, o czym marzy partyjny trybun. Dla niego to diament, którego szlifowania się podjął, ale jest to sztuka nie dla wszystkich dostępna. Waży talent. Wydaje się, że prezes tkwi w nieodgadnionej epoce i na swój sposób interpretuje zawołanie: nic co ludzkie nie jest mi obce. Ale i z tym ma problem, bo egoizm władania Rzeczpospolitą niweczy ideę spolegliwości, a w takich sytuacjach konflikty stają się codziennością. Tworzenie jedności parlamentu, władzy wykonawczej i sądowniczej pod auspicjami Nowogrodzkiej pozostaje w zatrważającej odległości od uprawianej przez unijne państwa demokratycznej trójpolówki. To agrarne, współczesnością zmodyfikowane pojęcie powinno być nam bliskie. Nadal aktualne pozostaje pytanie: o co walczymy i dokąd zmierzamy? Rzeczpospolita to wspólnota i obywatele mają prawo poznać strategię i taktykę chwilowego uzurpatora, bo konsekwencje dzisiejszych fanaberii poniesie lud, także prezes i jego poplecznicy. Bezgraniczne zaufanie też się wyczerpuje. Dostrzega to również prawy i sprawiedliwy elektorat, który zaczyna szukać dla siebie miejsca w przyszłości, powątpiewając w nawigacyjne umiejętności prezesa, a góra lodowa blisko.
Bezwolność zwycięzców szokuje. W zgodnym rytmie poddali się przerażającemu masochistycznemu partyjnemu mieszadłu. Interesujący to przypadek dla prawników, ekonomistów, socjologów, politologów etc. Rodzi się pytanie: czy los Polski musi dźwigać zwykły poseł o bolejącym kolanie? Odpowiedzi nie znamy, ale na pewno sadyzm nie jest marzeniem suwerena i dobrym pomysłem na jego uszczęśliwianie. Preferowany model zarządzania państwem coraz bardziej upodabnia się do tego sprzed lat zawartego w hasłach: silni, zwarci, gotowi, odważni etc. bez rzeczowej obudowy tych zaklęć. Sukces to czy klęska, bo na pewno nie tędy droga ku mocarstwowości.

Poczucie bezpieczeństwa

Czy obywatele Rzeczpospolitej czują się bezpieczni, a kraj niczym niezagrożony? Nie ma powodów, aby wieszczyć apokaliptyczną wizję. Można co najwyżej posiłkować się symptomami sugerującymi niepokojące tendencje. W obiegu wewnętrznym, to przede wszystkim trwający proces niszczenia trójpodziału władzy. Nie mamy też spójnego programu rozwoju kraju w bliższej i dalszej perspektywie. Zamiast tego jesteśmy karmieni wyjałowionymi z dziejowego kontekstu faktami
z rozdziału zatytułowanego: polityka historyczna państwa. Póki co narodowi wrzucono zastępczy temat z krainy absurdu o zmianie obowiązującej Konstytucji RP, który na szczęście upadł, ale wcale to nie oznacza, że prezydent nie wyjawi nowego politycznego kalkulatora. Po cóż więc był ten kosztowny happening? Nasuwa się też pytanie: czy w przypadku uchwalenia nowej ustawy zasadniczej prezydent RP będzie jej przestrzegał? Ostatnio jego wiarygodność znalazła się w kryzysie, a budowanie społecznych mostów utopią. Zwykły poseł bezszelestnie unicestwił głównego lokatora Belwederu. Po co więc owe nadęte formuły demokracji, jeśli partyjno – środowiskowa koleżeńskość przytłoczyła sprawowanie najważniejszego urzędu. Ten przypadek winien dać asumpt do zastanowienia się nad celowością trybu wybierania prezydenta. Może rozsądniejszym byłby obiór przez Zgromadzenie Narodowe, co nie jest obce polskiemu konstytucjonalizmowi, a wówczas partyjne skłonności byłyby bardziej zrozumiałe, zaś koszty elekcji mniejsze.
Poczucie bezpieczeństwa rodaków nadwyrężają opowieści premiera o gospodarczych sukcesach kraju. Jest w nich tyle prawdy, co dylematów, kiedy rodzime osiągnięcia usiłujemy powiązać z ogólnoświatową koniunkturą. Zastanawiają źródła danych jakimi premier żongluje,

bo przykładowo wiceminister od finansów w wywiadzie (9.8.2018 r.) oświadczył m.in., że mamy więcej powodów do pesymizmu, jak optymizmu. Cykle ekonomiczne, to bogaty zapis wzrostów i gospodarczych upadków. Ważne jest, aby nasza gospodarka nie była chorągiewką niezauważalnie powiewającą gdzieś na krańcach światowych giełd, lecz atrakcyjną mekką. Montownie to duża sprawa, ale rodzime marki produktów z konkurencyjnym logo i perspektywą tworzenia zagranicznych agend są najważniejsze. I w tym obszarze winny oscylować komunikaty premiera RP. Przedsiębiorcy oczekują konkretów na dziś i jutro. Ostatnie fabryczne i wieśniacze scenerie spotkań z ludźmi przemysłu i wsi graniczą z farsą. Opowieści premiera nie zapełnią atrakcyjnymi towarami magazynów, elewatorów, obór, stajni, chlewni etc. W prostym przekazie chodzi o bezpieczną egzystencję. Problem w tym, że przekładnia zgrzyta. Militarna osłona przed zakusami innych, to równie ważki obowiązek państwa, który musi współgrać z ekonomią. Współzależność jest prosta: lepsza gospodarka, doskonalsze militaria, ale nigdy odwrotnie, chyba że stawiamy na kredyty, ale takie rozwiązanie jest bliskie białej flagi i to jeszcze przed wybuchem wieszczonego zbrojnego konfliktu. Jesteśmy członkiem NATO, a więc organizacji polityczno- militarnej, wymagającej solidarnej współpracy jej członków. Staramy się w niej utrzymać na piedestale budżetowych odpisów od krajowego produktu. Zbieramy laury. To cieszy krajowych i natowskich decydentów. Zasmucają zaś kierunki wydawania tej publicznej krwawicy. Dotąd zabiegi dozbrajania armii kończą się unieważnieniami przetargów, poza zakupami z wolnej ręki samolotów dla VIP, ale nijak się to ma do wzmocnienia mocy bojowej armii chyba, że założono ewakuację rządu w momencie wojennego zagrożenia, a resztę już znamy: emigracyjny rząd z dala od ojczystych realiów i wszechobecne intrygi. Marynarka wojenna tonie, specjalistycznych helikopterów brak, lotnictwo wymaga uzupełnień, czołgi w rozpaczy, hełmy spod Lenino w renowacji etc. Obrony nie załatwią rakiety Patriot, a tym bardziej wojska obrony terytorialnej kraju, gdzie musztra i obsługa prostej broni ręcznej stanowią priorytet. Improwizacja w militarnym obszarze ma się dobrze i nie wyszła poza poziom przygotowań do walk partyzanckich. Nie wiadomo też skąd atak nastąpi i w imię czego. Dotąd nie mamy strategii bezpieczeństwa narodowego. Ta z 2014 roku już w chwili akceptacji była nieaktualna, bo wstrząsnął nią m.in. konflikt na Ukrainie, powstanie Państwa Islamskiego, napływ do Europy uchodźców etc.
Nie dostrzega się wprawdzie zagrożenia militarnego dla Polski, ale nie zwalnia to państwa od dysponowania takim dokumentem. Tych niedostatków nie przyćmiła rozdęta do niebotycznych rozmiarów warszawska defilada wojskowa (15.8.2018 r.), która była bliższa grupie rekonstrukcyjnej, wzbogaconej wojami Pierwszych Piastów niż współczesności. Dla żołnierzy defilada to radosne przeżycie, lecz narzędzia pracy najważniejsze, a dzisiejszy czas to prezentowanie odświeżonego demobilu innych armii. Smutny to obraz, bo zbliżony do tego, kiedy to owies wypierał oktany.
Zwornikiem atrybutów państwa jest dyplomacja, a ona ważniejsza od inteligentnych rakiet. Dialog z międzynarodowym otoczeniem w naszym geograficznym położeniu (trasa W-Z) wymaga szczególnej troski. Tutaj tkwią przesłanki zagrożeń, ale i gwarancje niepodległości. W przeszłości mieliśmy z tym kłopoty, które kończyły się utratą suwerenności. Pora na poprawne wnioski. Pamiętać należy, że prawda nie ma koloru, a wyłącznie identyfikujące ją pewniki.

Kadrowa obsesja

Doskonalenie struktur państwa w wydaniu dobrej zmiany to wyłącznie kadrowa szatkownica, a nie merytoryczne usprawnianie instytucji państwa. Proceder trwa już trzeci rok i przebiega w

dwóch płaszczyznach. Jedna z nich, to ocenianie życiorysów osób dotąd zatrudnionych w rządowych i z nimi związanych agendach, wedle partyjnych kryteriów lojalności. Inna wiąże się z obsadzaniem politycznie spolegliwymi funkcjonariuszami nowotworzonych stanowisk. Kompetencje zostały zignorowane. Górę wzięły służalczość i nepotyczne układy.
W tym procederze szczególne miejsce przypadło zdezelowanemu wytrychowi zwanemu dekomunizacją, stosowanemu wszędzie tam, gdzie zawodzą racjonalne sposoby oceniania drugiego człowieka, a to sprawa bodaj najtrudniejsza, wymagająca nie tylko branżowej wiedzy, lecz nade wszystko przyzwoitości. Tymi problemami są znaczone, obok nas, pozostałe byłe kraje demokracji ludowej o wspólnym mianowniku ustrojowego systemu będącego darem Wielkiej Trójki, bez alternatywy wyboru. Państwa te musiały egzystować w formacie skrojonym przez szefa Związku Radzieckiego, bo to on otrzymał wolną rękę w nadzorze nad tym europejskim obszarem. Finałem każdego rodzimego protestu były restrykcje, niekiedy krwią okupione. Trwało to niemal 45. lat do kolejnego spotkania Mocarzy, ale w nieco rozszerzonym składzie (m.in. o RFN), decydując o naszym losie.
Zastanawia więc sens rozrachunkowej opcji z tymi, którzy funkcjonowali w państwie o odmiennym do dzisiejszego politycznego modelu. Jaki mieli wybór chociażby z racji daty urodzenia? Inny dylemat czy stanąć w proteście i sprowokować kolejną narodową tragedię, czy podjąć pracę na rzecz Rzeczpospolitej w jej ówczesnej edycji? A może z aktywnością należało poczekać na nadejście dobrej zmiany? Pytajników tak dzisiaj, jak i wtedy wiele. Wówczas nikły był odsetek tych, którzy z determinacją opierali się tamtej władzy. W ekstremalnych sytuacjach ich los wyznaczały wyroki sądowe. W późniejszym czasie wtopili się w solidarnościowy ruch i dzisiaj rozsiedli się przy weryfikacyjnych stołach, głosząc nadrzędność swoich ówczesnych zachowań nad resztą narodu, który również miał krytyczne zdanie o tamtym systemie, ale poszukiwał innych dróg ulżenia spacyfikowanej Rzeczpospolitej. Nie byli to zdrajcy, obłudnicy, odszczepieńcy, kolaboranci etc., jakimi to dzisiaj epitetami rządzący obrzucają tych z Polski Ludowej, mimo że wielu dzisiaj mieniących się niepokalanymi odnosiło w tamtym systemie życiowe sukcesy. Kolejna to perfidia w wydaniu dobrej zmiany.
Zasmuca pogląd lansowany przez prawą i sprawiedliwą partię, że każdy, kto ma jakikolwiek związek z Polską Ludową dzisiaj pozostaje mu żywot na marginesie, a ewentualna absolucja spoczywa w rękach decydentów z Nowogrodzkiej. Bardziej absurdalnego i samobójczego dla państwa poglądu nie sposób wymyślić. Kto, jeśli nie Polacy miał odbudowywać kraj po wojennej hekatombie, piastować urzędy państwowe, strzec granic i bezpieczeństwa wewnętrznego, wydawać decyzje administracyjne, osądzać czyny kolidujące z prawnymi regulacjami etc. Nie jest to ostateczny katalog z obszaru zarządzania strukturami tamtego państwa, ale na tyle wymowny, aby nie mieć wątpliwości co do dzisiejszych intencji rządzących. Totalna negacja wszystkiego z tamtych lat jest drogą w krainę nonsensu, ale przede wszystkim tłamsi ważki rozdział historii Rzeczpospolitej. Jego zerowanie w trybie dekomunizacyjnego zawołania jest kolejnym nonsensem. Rządzący to ignorują.
W sloganowej rozpuście wyborczych zwycięzców niedawny czas objawia się refleksjami nad tym, co by się stało, gdyby wszyscy obywatele Nadwiślańskiego Kraju odmówili przyjęcia warunków narzuconych przez Wielką Trójkę? Kto więc miałby służyć w wojsku, organach bezpieczeństwa, sądownictwie, prokuraturze, magistratach, ministerstwach etc., jeśli nie Polacy? Odpowiedź nie jest trudna, chyba że górę bierze zła wola i wydumany straceńczy idealizm.

* * *

Dobra zmiana problemami obrosła, a to jeszcze nie finał ich mnożenia. Azymut natarcia może i nie dziwi, ale w tym marszu niepokoi odstępstwo od demokratycznych reguł. Kres temu może położyć kartka wyborcza.
Doskonalenie instytucji państwa i gruntowanie społecznych więzi musi następować w szacunku do ustrojowego dokumentu, tj. Konstytucji RP. Z tym władza ma problem, mimo że na nią przysięgała, stając w służbie narodu. Dzisiaj jest zawadą, a slogany o konieczności przestrzegania jej zapisów pozostają w kontrze do czynów i przekroczyły zwyczajową definicję załgania. Instytucjonalne organy mające ją strzec, tj. prezydent i Trybunał Konstytucyjny stanęły naprzeciwko niej. Pierwszy usiłuje w egzotycznym i niekonstytucyjnym stylu napisać ją na nowo, a Trybunał w odświeżonym składzie zgodność ustaw z konstytucją rozstrzyga w sugestywnym trybie. Czyny władzy ustawodawczej, wykonawczej oraz sądowniczej układają się wedle wymogów Nowogrodzkiej i w obsesyjnym proteście do traktatowych unijnych wymogów, także w kontrze do społecznych oczekiwań.
Ustawa zasadnicza, jak i sądownictwo same się nie obronią. Wymagają wsparcia i je otrzymują, co optymizmem powiewa. Mogło być inaczej a marnotrawienie sił i środków mógłby zastąpić bezcenny dialog. Ale dla rządzących to zakazany rewir wpisujący się w krótkowzroczność.
Zasmucają efekty polityki zagranicznej rządu. Nie mamy w nadmiarze solidnych dwustronnych przyjaźni. Zlekceważono stosunki z tymi, którzy stają na krańcach arterii przewrotnie nazwanej Autostradą Wolności. To właśnie na niej spotykały kraj największe karambole. Rusofobia i germanofobia nadal są tworzywem dla upiornych scenariuszy, mimo że od tych sąsiadów jesteśmy gospodarczo uzależnieni. Warto pójść pragmatyczną drogą jak to czynią inni. Pora więc wyjść z zaklętych kwartałów.

Janina Łagoda